



Kryminał z myszką

32

U

Huberta

Albert Wojt

Albert Wojt

U HUBERTA

Kryminał z myszką – Tom 32

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67562-01-0

Copyright © Wojciech Sadrakuła

Tekst: Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1982 (Labirynt)

Nakład pierwszego wydania: 150 000 + 250 egz.

Doktor Wacław Budziszynski niedbałym ruchem odsunął na skraj biurka plik podpisanych przed chwilą dokumentów i z nieklamana przyjemnością rozparł się w wygodnym fotelu. Prawdę mówiąc miał powody do zadowolenia. Nie przekroczywszy jeszcze czterdziestki piastował stanowisko jednego z wicedyrektorów szanowanej bądź co bądź placówki, jaką był Instytut Badawczo-Rozwojowy Łączności Bezprzewodowej, do pracy jeździł niedawno kupionym peugeotem i mógł się pochwalić elegancką daczą odległą niespełna pięćdziesiąt kilometrów od Warszawy. Dobre stosunki ze zwierzchnikami w ministerstwie, częste wyjazdy za granicę i wysokie pobory pozwalały Budziszynskiemu z optymizmem patrzeć w przyszłość. A pomyśleć, że jeszcze przed dwoma laty doktor był tylko niewiele znaczącym asystentem na Politechnice Warszawskiej, człowiekiem bez żadnych widoków na awans...

Jeden ze stojących na biurku telefonów cicho zabrzączał. Budziszynski bez pośpiechu sięgnął po słuchawkę.

– Co u ciebie, Wacek? – dobiegł go niski, nieco chrapliwy głos dyrektora instytutu. – Jeśli nie jesteś zbyt zajęty, wpadnij do mnie na minutkę.

– Stało się coś?

– Ależ nie, wszystko w najlepszym porządku – zapewnił Wordół, choć wypadło to jakoś mało przekonująco. – Po prostu jest okazja, żeby się trochę przewietrzyć, i pomyślałem o tobie...

– Dziękuję za pamięć...

– Podziękujesz, kiedy się dowiesz, w czym rzecz.

– Zaraz będę u ciebie.

Niespełna pięć minut później doktor przekraczał próg gabinetu swojego zwierzchnika. Wordół był niezbyt wysokim, tęgim mężczyzną po pięćdziesiątce o czerwonych, obwisłych policzkach i pokaźnej łysinie. Na widok przybyłego żywo wysunął się zza szerokiego biurka i zapraszającym gestem wskazał jeden z obitych skórą foteli przy stojącym w rogu gabinetu okrągłym stoliku.

– Na początek nie zawadzi łyknąć po małym – zaproponował i nie czekając na odpowiedź wyjął z ukrytego za kotarą barku butelkę francuskiego koniaku. – Od razu człowiek trzeźwiej spojrzy na wszystkie problemy...

– Dobry trunek jeszcze nikomu nie zaszkodził – dyplomatycznie przyznał Budziszynski.

– To zdrowko!

– W twoje ręce, Lucek!

Wordół wypił jednym haustem zawartość pękatego kieliszka i skrzywił się, jak gdyby to była wódka. Doktor pociągnął tylko spory łyk i spojrzał pytająco na zwierzchnika.

– Wspominałeś o jakimś wyjeździe – rzucił na pozór obojętnie. – Co to takiego?

– Jedna z lokalnych stacji telewizyjnych chce sobie zafundować nowe telekino. Dewizy się znalazły, zachodnia firma chętna do zrobienia tego interesu również, chodzi tylko o pozytywną opinię eksperta na temat jakości aparatury.

– Zwrócili się z tym do nas? – Budziszynski z niedowierzaniem pokręcił głową. – Przecież telewizja ma własny instytut!

– Co to za różnica? – Naczelnny ostentacyjnie wzruszył ramionami. – Płacą za wyjazd i ekspertyzę, więc czemu nie mielibyśmy skorzystać?

– Niby racja – bez specjalnego przekonania przytaknął doktor. – Od kogo kupujemy to telekino?

– Od jakiejś firmy z Mediolanu.

– Mówiąc szczerze, nigdy nie miałem zaufania do techniki makaroniarzy.

– Ja również – roześmiał się Wordół. – Ale w końcu to nie nasz interes i nie nasze pieniądze...

Budziszyński chciał coś odpowiedzieć, ale w ostatniej chwili widać zmienił zamiar, bo tylko w zamyśleniu zmarszczył brwi i niemal odruchowo wysączył swój koniak. Dyrektor naczelny skwapliwie sięgnął po odstawioną butelkę i ponownie napełnił kieliszki. Przez moment w milczeniu spoglądał na doktora. Wreszcie zniecierpliwiony przedłużającą się ciszą rzucił znacznie ostrzej:

– Nad czym się, u licha, zastanawiasz?! Sam miałem ochotę na ten Mediolan i gdybym nie musiał siedzieć teraz kamieniem w instytucie, na pewno nie szukałbym zastępcy!

– Kiedy ci faceci z telewizji chcą finalizować transakcję? – Budziszyński uznał, że lepiej nie przeciągać struny.

– Wylatują z Polski za cztery dni i myślę, że sprawa nie potrwa dłużej niż tydzień.

– Czy ja zdążę załatwić wszystkie formalności? – zaniepokoił się doktor.

– Paszport masz ważny?

– Owszem.

– Więc o resztę niech cię głowa nie boli. – Wordół zbagatelizował sprawę. – W ministerstwie dali nam zielone światło... Tylko nie wybrzydzaj za bardzo na aparaturę tych makaroniarzy – dodał ciszej. – Na mój gust kontrakt i tak dojdzie do skutku, a my mielibyśmy niepotrzebne sęki...

– Rozumiem.

– Znaczący, że nie pozostaje mi nic innego, jak życzyć ci szczęśliwej podróży.

– Jeszcze raz dziękuję, że o mnie pamiętałeś. – Tym razem Budziszyński pierwszy podniósł kieliszek. – Twoje zdrowie, Lucek!

– Oby nam się... Aha, byłbym zapomniiał – niby mimochodem dodał dyrektor naczelny. – Masz pozdrowienia od towarzysza Dzibucha z ministerstwa. Zdaje się, że to twój kolega ze studiów?

Wypili i doktor wolnym krokiem ruszył do wyjścia. Gabinet opuszczał z mieszanymi uczuciami. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ten nagły wyjazd do Mediolanu nie jest przypadkowy, jak to usiłował zasugerować zwierzchnik, z drugiej jednak strony propozycja była zbyt nęcąca, by odmówić. Bez słowa minął sekretariat i sięgał właśnie do klamki drzwi prowadzących na korytarz, kiedy dobiegł go cichy, melodyjny głos Anny Migalskiej.

– Szef wysyła pana za granicę?

– Skąd pani wie? – Z nie tajonym zdziwieniem odwrócił się w stronę sekretarki.

– Wystarczy na pana spojrzeć.

– Ma pani oko...

– To znaczy, że zgadłam?

– Owszem – przytaknął. – Jadę do Mediolanu.

– Na długo?

– Na jakiś tydzień. Będę kupował telekino dla jednej z naszych stacji telewizyjnych.

– Zdąży pan wrócić do przyszłej soboty?

– Psiakrew! – zaklął, uderzając się nagle w czoło. – Polowanie przejdzie mi koło nosa. Na śmierć zapomniałem, że umawialiśmy się z Wanidowskim.

– Dla dzików nie zrezygnuje pan przecież z Mediolanu. – Migalska jak gdyby odrobinę posmutniała. – Zresztą będzie miał pan jeszcze niejedną okazję, żeby ustrzelić odyńca.

– Gorzej, że ominie mnie pani towarzystwo, pani Aniu. – Szarmancko pocałował sekretarkę w rękę. – Las taki duży, więc może urwalibyśmy się gdzieś szefowi...

– Kiedyś to sobie odbijemy. – Porozumiewawczo przymrużyła oko. – A w przyszłą sobotę będę skazana na zaloty dyrektora Wordóła...

Skrzypnęły drzwi i do sekretariatu wsunął się niewysoki blondyn o dziecinnie gładkiej, niemal pozbawionej zarostu twarzy. Już na pierwszy rzut oka widać było, że coś wyprowadziło go z równowagi.

– O, doktor Jonic! – uprzejmie powitała przybyłego Migalska. – Co u pana słychać.

– Zostałem naczelnego? – Blondyn wyraźnie zignorował pytanie sekretarki. – Mam pilną sprawę.

– Dyrektor jest bardzo zajęty. – Rozłożyła ręce bezradnym gestem. – Prosił, żeby mu nikt nie przeszkadzał.

– Wczoraj zajęty, dzisiaj zajęty! – Jonic aż poczerwieniał z irytacji. – Pewno powiedział, że nie chce mnie widzieć, a pani serwuje mi głodne kawałki!

– Ależ, panie Arturze!

– On się wywinie sianem, a ja dostanę po karku za niedopełnienie obowiązków. – Potrząsnął gniewnie trzymanym w rękę „Życiem Warszawy”. – Czytaliście państwo?

– Co takiego? – zainteresował się Budziszyski.

– Najpierw dam przeczytać naczelnemu! – zdecydował Jonic. – Może wtedy przetrząśnie szuflady i znajdzie to, co rzekomo wyparowało!

Doktor zmełł w ustach jakieś przekleństwo i nie zwracając uwagi na protesty Migalskiej energicznie pchnął drzwi do gabinetu Wordóła.

– Biedny szef – westchnęła sekretarka. – Jonic już od paru dni go nachodzi i zawraca głowę jakimiś głupstwami.

– Czyżby któryś z pismaków obsmarował nas w prasie?

– Na razie chyba nie, ale nie dam głowy, czy Arturek nie napuści kogoś na instytut.

– Chwała Bogu, że nie mam faceta u siebie w pionie – mruknął Budziszyski. –

Byłbym w tak samo podłym humorze, jak naczelnny. A swoją drogą nie wiecie się szefowi pod koniec tego tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku...

2

Cicho otworzyły się obite skajem drzwi i w progu gabinetu pułkownika Kuglarza stanął niski, niepozornie wyglądający blondyn. Naczelnik podniósł zmęczony wzrok na przybyłego.

– Melduje się kapitan Jodecki, obywatelu pułkownika – rzucił tamten służbiście.

– Siadaj, chłopcze. – Kuglarz zachęcającym gestem wskazał podwładnemu krzesło po drugiej stronie biurka. – Mam dla ciebie nową sprawę.

– A ja już od wczoraj myślałem, że będę bezrobotny – pół żartem, pół serio zauważył kapitan.

– W najbliższym czasie chyba nam to nie grozi – roześmiał się pułkownik. – A wracając do rzeczy – dodał poważnie – niewykluczone, że sprawa okaże się fałszywym alarmem.

– Mamy jakieś niepotwierdzone sygnały?

– Nie tylko nie potwierdzone, ale co gorsza i bardzo mało konkretne – westchnął Kuglarz. – Otrzymałem informację, że zachodni wywiad zainteresował się Instytutem Badawczo-Rozwojowym Łączności Bezprzewodowej.

– Szukają dopiero jakiegoś dojścia, czy już udało im się umieścić tam swoją wtyczkę?

– Na razie nie wiadomo. – Kuglarz bezradnie rozłożył ręce. – Zresztą sam przeczytaj. – Podał Jodeckiemu cienki, zawierający zaledwie kilka kartek skoroszyt.

Kapitan z nietajonym zainteresowaniem zabrał się do lektury, ale już po chwili spojrzał pytająco na przełożonego.

– Przecież z tego nic nie wynika – bąknął nieśmiało.

– Masz rację, chłopcze – przytaknął pułkownik. – Pamiętaj jednak, że w naszym fachu lepiej dmuchać na zimne...

– Co mam robić? – Jodecki zrozumiał, że dalsze zgłaszanie wątpliwości nie miałyby większego sensu.

– Przede wszystkim zbierzesz wszystkie dane, jakimi dysponujemy, na temat instytutu i jego działalności. Musisz sprawdzić, czy były już kiedyś sygnały o zainteresowaniu obcego wywiadu tą placówką. Ustal też, jak często pracownicy instytutu wyjeżdżają za granicę...

– To zajmie trochę czasu...

– Na szczęście brak danych o jakichś przeciekach dotyczących prac prowadzonych w instytucie, więc nie musimy się chyba spieszyć... Tak czy inaczej, kiedy będziesz już miał ogólne rozeznanie w sprawach interesującej nas placówki, złożysz tam wizytę.

– W jakim charakterze?

– Od czasu do czasu nasi koledzy z milicji przeprowadzają kontrole mające na celu sprawdzenie zabezpieczenia mienia w różnych zakładach pracy. Pretekst stary i oklepany, ale właśnie dlatego nie wzbudzający podejrzeń...

3

Ktoś uderzył łyżeczką w kieliszek i donośnie zabrzmiał kolejny toast:

– Za pomyślny finał naszych pertraktacji!

– O przepraszam! Ja piję zdrowie pań! – szarmancko, choć kalecząc niemiłosiernie włoski, w którym toczyła się rozmowa, zaoponował Budziszynski. – Signorina Angela, signorina Beatrice...

– Popieram! – Tęgi, blisko sześćdziesięcioletni pracownik centrali handlu zagranicznego ochoczo podniósł kieliszek. – Zdrowie dam!

– Za korzyści, jakie przyniesie obu stronom nowy kontrakt! – uparcie powtórzył równie tęgi, ale znacznie młodszy przedstawiciel mediolańskiego koncernu. – Za dalszą owocną współpracę!

Wypili. Budziszynski nieco już zmętniałym wzrokiem potoczył po eleganckiej sali ekskluzywnej, hotelowej restauracji. Musiał przyznać, że gospodarze bezbłędnie przewidzieli upodobania członków delegacji przybyłej w sprawie zakupu telekina. Zanim jeszcze zdołano cokolwiek uzgodnić, doktor i jego czterej koledzy zostali zaproszeni na suto zakrapianą kolację. Dla poprawienia i tak znakomitej atmosfery, jaka panowała przy stole, dotrzymywały panom towarzystwa trzy niezwykle atrakcyjne, dwudziestokilkuletnie, sądząc z wyglądu, Włoszki. Jedna z nich, ciemnowłosa Angela, siedziała właśnie obok Budziszynskiego.

– Czyżby zdrowie pań było dla pana ważniejsze od negocjowanego kontraktu? – zapytała z kokietyrystycznym uśmiechem. – Przecież każdą z nas widzi pan pierwszy raz w życiu.

– Sądziłem, że pod tym względem Polacy są podobni do Włochów.

– Niektórzy moi rodacy na pierwszym miejscu stawiają jednak interesy.

– Dla mnie byłoby to nie do pomyślenia! – gorliwie zadeklarował się doktor. – Przecież paniom zawdzięczamy najmiłsze chwile w naszym życiu, należy się więc im coś w zamian.

– Polacy są zawsze tacy rycerscy wobec kobiet – zauważyła z powagą. – Nic dziwnego, że na całym świecie cieszą się panowie ogromnym powodzeniem.

– Miło mi słyszeć...

– Czasami żałuję, że znam tak niewielu pańskich rodaków.

– Przy pani urodzie trudno chyba narzekać na brak wielbicieli?

– To wszystko nie to – uśmiechnęła się zagadkowo.

– W takim razie proszę przyjechać do Polski.

– Mój pradziadek podobno prosił o to prababcię. Niestety, bezskutecznie. Za nic w świecie nie chciała zamieszkać w jego ojczyźnie.

– W pani żyłach płynie odrobina polskiej krwi? – Budziszynski z niedowierzaniem popatrzył na dziewczynę.

– Może stąd bierze się moja szczególna sympatia dla Polaków...

– Proponuję wypić zdrowie naszych polskich kontrahentów! – Donośny głos drugiego z przedstawicieli mediolańskiego koncernu na moment oderwał uwagę doktora od Angeli. – Do dna, panowie!

Budziszynski podniósł kieliszek. Wypił jednym haustem jego zawartość i przez chwilę zastanawiał się, co sobie nałożyć na talerzyk. Szybko jednak zmienił zamiar. Był najedzony, a poza tym włoska kuchnia mu nie odpowiadała. Sięgnął do kieszeni po papierosy. Wyciągnął przywiezioną jeszcze z Polski zmiętą paczkę Marlboro, ale tu spotkał go srogi zawód. Ostatni papieros miał rozerwaną bibułę.

– Proszę bardzo! – Siedzący naprzeciwko szczupły, niepozorny Włoch z małym wąsikiem usłużnie podsunął doktorowi sporą, nieco staroświecką papierośnicę. – Takie same jak pańskie...

Budziszynski z wdzięcznością przyjął poczęstunek. Przypalił papierosa i łapczywie zaciągnął się dymem. Wbrew zapowiedziom Włocha papieros miał jednak nieco inny smak...

– Ja też proszę – szepnęła mu do ucha Angela. – A w ogóle, to za wcześnie pana pochwaliłam, signor! – dodała z nutką lekkiego zawodu. – Sam pan zapalił, a mnie nawet nie zapytał...

Doktor chciał coś powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, ale jak na złość skończył mu się zasób włoskich słówek. Bez skrupułów sięgnął po leżącą jeszcze na stole papierośnicę i otworzył ją, żeby poczęstować dziewczynę.

– Wypijmy za nasze spotkanie! – siedzący naprzeciwko Włoch ochoczo wzniósł kolejny toast.

Brzęknęły kieliszki, gdzieś z boku błysnął flesz. Porządnie już widać podchmielony, tęgi pracownik centrali handlu zagranicznego nieoczekiwanie wpadł w objęcia jednego z przedstawicieli mediolańskiego koncernu. Któraś z dziewczyn zachichotała, nadstawiając policzki dwóm siedzącym przy niej, nie najmłodszym już panom.

Budziszynski sięgnął do kieszeni po zapalniczkę, kiedy jednak podawał ogień Angeli, ta najwyraźniej się rozmyśliła.

– Okropnie tu duszno – szepnęła, odkładając na bok nie przypalonego papierosa. Może się trochę przejdziemy?

– Czy to wypada? – wybąkał niepewnie.

– Nikt nawet nie zwróci uwagi – zapewniła beztrosko. – Więc jak, idziemy?

– Pani życzenie jest dla mnie rozkazem:

Skwapliwie, choć nie bez trudności, podniósł się z miejsca, pomógł wstać Angeli i miał właśnie zamiar odejść od stołu, kiedy powstrzymał go uprzejmy głos siedzącego naprzeciwko Włocha.

– Zapomniał pan papierośnicy, signor Budziszynski...

Doktor aż zaniemówił ze zdziwienia. Z niezbyt mądrą miną popatrzył na przedstawicieli mediolańskiego koncernu, ale tamten uśmiechnął się dobrodusznie.

– Przepraszam! Wypadło to jakoś niezręcznie – wyznał z rozbijającą szczerością. – Ale bardzo pragnęłam, aby przyjął pan jakiś drobny upominek od naszej firmy... Jedna z dziewcząt odpowiedziała mi, że taka forma będzie zabawna, a ja...

– Idziemy! – z nieoczekiwaną stanowczością wtrąciła się Angela. – Naprawdę jest mi okropnie duszno.

Chwyciła ze stołu papierośnicę, wsunęła ją doktorowi do zewnętrznej kieszeni marynarki i nie oglądając się na nikogo ruszyła do wyjścia. Budziszynski z widocznym zakłopotaniem potarł czoło. Zupełnie nie wiedział, jak ma postąpić. Zerknął na oddalającą się

niezbyt spieszonym krokiem Angelę i pomyślał, że dziewczyna wygląda niezwykle atrakcyjnie.

– Pal diabli makaroniarza i jego papierośnicę – mruknął do siebie. – Byłbym skończonym osłem, gdybym wypuścił z garści taką babkę!

Prawie biegiem ruszył za Angelą. Kiedy ją dogonił, obdarzyła go ciepłym uśmiechem i przelotnie musnęła w policzek. Doktor zupełnie niespodziewanie poczuł się o dwadzieścia lat młodszy. Nie panując nad ogarniającym go podnieceniem objął dziewczynę wpół i przyciągnął do siebie.

– Nie tak szybko, mój Casanovo! – Zwinnie jak piskorz wyśliznęła się z jego rąk. – Musimy najpierw dotrzeć do twego pokoju...

4

– Wstawaj, śpiochu, już dziesiąta! Nie masz chyba zamiaru przespać całego pobytu w Mediolanie?!

Budziszyński z trudem otworzył oczy. W głowie huczało mu jak we młynie, a co gorsza czuł, że raz po raz żołądek podjeżdża mu do gardła. Prawdę powiedziawszy był bardzo niemile zaskoczony. Nigdy dotąd nawet po znacznie większych dawkach alkoholu nie przeżywał niczego podobnego. W dodatku minionej nocy nic nie zwiastowało nadejścia tak gigantycznego kaca.

– No, wstawaj wreszcie! – Ubrana w szlafrok doktora Angela bezceremonialnie ściągnęła z Budziszyńskiego kołdrę. – Wczoraj byłeś taki ogier, a dzisiaj przypominasz zdechłego kota!

Urażony do żywego ostatnią uwagą dziewczyny spróbował się poderwać z tapczanu, ale wypadło to tak niezdarnie, że parsknęła ona niepohamowanym śmiechem. Bez słowa powlókł się do sąsiadującej z pokojem łazienki. Wszedł pod prysznic i odkręcił kurek z zimną wodą. Lodowaty strumień odrobinę go orzeźwił, ale kiedy po pięciu minutach wracał do pokoju, nadal czuł się wyjątkowo podle. Tym razem na twarzy Angeli dostrzegł współczucie.

– Coś ci musiało zaszkodzić – zawyrokowała z powagą. – Muszę pomyśleć o jakiejś kuracji, bo nie będę miała z ciebie żadnej pociechy.

Przez dłuższą chwilę szukała czegoś zapamiętane w torebce, wreszcie wyciągnęła niewielki, plastikowy flakonik z podłużnymi, zielonymi pigułkami.

– To dobre na kaca, niestrawność i inne podobne dopusty boskie... – Zachęcającym gestem podała doktorowi flakonik. Na wszelki wypadek weź od razu ze trzy sztuki.

Budziszyński nawet nie pytał, jaki specyfik oferuje mu dziewczyna. Bez wahania łyknął pigułki i powoli zaczął się ubierać. Przyszło mu do głowy, że najwyższy już czas zejść z Angelą na śniadanie albo zadzwonić, by ktoś przyniósł im posiłek do pokoju. Póki co, niemal odruchowo sięgnął do kieszeni wiszącej na krześle marynarki. Wyciągnął otrzymaną poprzedniego dnia papierośnicę i niecierpliwie zajrzał do środka. Niestety, była pusta.

Zakławszy szpetnie pod nosem zabierał się właśnie do przeszukiwania pozostałych kieszeni marynarki, kiedy dziewczyna podała mu usłużnie paczkę papierosów. Zapalając uśmiechnął się do niej z wdzięcznością. Oto szalowy kociak z poprzedniego wieczoru okazał się równie dobrą pielęgniarką.

Budziszyński ponownie sięgnął po papierośnicę i nagle poczuł, że robi mu się gorąco. Wczoraj nie zwrócił uwagi ani na charakterystyczny, ciemnożółty kolor, ani na wagę podarunku. Obecnie, im dłużej przyglądał się papierośnicy, tym większej nabierał pewności...

– Przecież to złoto! – bąknął zaskoczony. – Takie cacko musiało kosztować kupę forsy!

– Przynajmniej będziesz miał miłą pamiątkę z pobytu w Mediolanie. – Angela najwyraźniej przeszła do porządku nad słowami doktora.

– Ale ja nie mogę zatrzymać tej papierošnicy!

– Nie żartuj?! – Teraz dziewczyna okazała zdziwienie. – Niby dlaczego?

– Powiedzą, że przyjąłem łapówkę.

– Kto powie?

– Moi pracodawcy.

– Bzdura! – zachnęła się Angela. – Nasza firma bardzo często daje różnym ludziom podobne prezenty. Zresztą nikomu nie musisz się chwalić...

– Tak czy inaczej powinienem zwrócić to cacko – powtórzył Budziszyski.

– Signor Pelosi byłby niepokieszony. Szef reklamy koncernu zmyłby mu głowę, że nie wykonał polecenia... A na dokładkę papierošnica jest już dla firmy bezużyteczna. Przecież na wieczku wygrawerowano twoje Inicjały...

Doktor z zakłopotaniem podrapał się w czoło. Pokusa była bardzo silna, a dziewczyna podsuwała mu wygodne wytłumaczenie przed samym sobą. Szczerze mówiąc, w Polsce pewno aby się nie wahał, ale tutaj w Mediolanie, mimo wszystko chciał zachować twarz...

Przez dłuższą chwilę zastanawiał się, jak postąpić. Nagle poczuł, że dręczące go od przebudzenia zmęczenie i bóle głowy znikają gdzieś bez śladu. Natychmiast powrócił wczorajszys humor, a wszelkie problemy stały się mniej ważne. Beztrosko podrzucił papierošnicę do góry i zgrabnie chwycił ją drugą ręką. Przemknęła mu myśl, że szczęśliwa odmiana jest zasługą pastylek Angeli. Chciał podziękować dziewczynie, ale sama dostrzegła już, co się stało. Figlarnie przymrużyła oko i wystudiowanym gestem zrzuciła szlafrok.

5

– Może się wreszcie dowiem, gdzie są klucze od tych drzwi? – wysoki, dobrze zbudowany szatyn w mundurze porucznika MO urzędowym tonem indagował porządnie wystraszonego portiera Brodonia. – Przy sobie ich nie macie, w gablocie w portierni nie wisiały, a w książce zdarzeń ani śladu wzmianki o zaginięciu!

– Bóg mi świadkiem, że nie mam pojęcia. – Brodoń z rozmachem grzmotnął się w piersi. – Kamień w wodę!

– Zdaje się, że odpowiednie zabezpieczenie kluczy od wszystkich pomieszczeń należy do waszych obowiązków – twardo stwierdził oficer. – W dodatku to są przecież drzwi prowadzące poza teren instytutu.

– Od lat nikt z nich nie korzystał – wtrącił nieśmiało kierownik działu administracyjnego, Lulicki. – Jeśli nawet klucze zginęły, to bardzo dawno...

– A jeśli klucze znalazły się w niepowołanych rękach?! – Funkcjonariusz nie krył swego oburzenia. – Jak można było przejść do porządku nad faktem ich zaginięcia? Takie praktyki są niedopuszczalne! Będziemy musieli poprosić dyrektora instytutu o zajęcie stanowiska.

Jodecki i dwaj inni, ubrani po cywilnemu, członkowie komisji wizytującej Instytut Badawczo-Rozwojowy Łączności Bezprzewodowej pokiwali głowami. Portier z widocznym strachem obejrzał się na Lulickiego, jak gdyby liczył na to, że on go obroni, jednak tamten miał bardzo niepewną minę.

– W ciągu dwóch dni zamki zostaną wymienione – gorliwie zapewnił kierownik administracyjny. – Możecie mi panowie wierzyć, że podobne niedopatrzzenie nigdy już się nie powtórzy...

Porucznik zapisał coś w swoim notatniku i wszyscy ruszyli dalej. Ponad dwugodzinny obchód instytutu miał się ku końcowi. Kapitan Jodecki przez cały czas rozglądał się pilnie,

ale zgodnie z przewidywaniami nic podejrzanego nie zwróciło jego uwagi. Zresztą na pierwszy rzut oka poza zagubionymi kluczami od nie używanego wejścia trudno było mieć o cokolwiek pretensję do pracowników placówki.

Niespełna pół godziny później członkowie komisji wkroczyli do gabinetu dyrektora Wordóła. Szef instytutu siłąc się na uprzejmość wskazał przybyłym miejsca przy stojącym w rogu, okrągłym stoliku, jego mina świadczyła jednak, że nie przykłada zbytnej wagi do wizyty niespodziewanych gości.

– Mam nadzieję, że nie stwierdziliście panowie istotniejszych uchybień na odcinku zabezpieczenia mienia i tajemnic naszej placówki? – zapytał zdawkowo.

– A może pan miał jakieś kłopoty w tym zakresie? – podchwycił Jodecki. – Czy nie zdarzyło się kiedyś, że ujawniono obecność jakichś niepowołanych osób na terenie instytutu?

– Nikt mi o tym nie meldował...

– Nigdy nie doszło do kradzieży ani nie zginął żaden dokument?

– Nic z tych rzeczy – zaprzeczył dyrektor. – Słyszałem, że zaniepokoił panów fakt zagubienia klucz od nie używanych drzwi wejściowych – dodał nie bez odrobiny ironii w głosie. – Oczywiście wyciągnę odpowiednie konsekwencje w stosunku do portiera, niemniej nie podzielam obaw, iż klucze te trafiły w niepowołane ręce.

– Z pewnością ma pan rację, ale ostrożność nie zawadzi...

Skrzypnęły drzwi i w progu gabinetu stanęła Migalska. Trzymała w rękach elegancką tackę z pięcioma filiżankami kawy i niewielką cukiernicą. Na widok sekretarki dyrektor uśmiechnął się lekko.

– Wiem, że na służbie nie wolno panom proponować nic mocniejszego – rzucił pół żartem, pół serio – ale kawy się chyba napijemy...

6

Wordół nie bacząc na skrzypiący śnieg raz po raz, niecierpliwie przestępował z nogi na nogę. Przed sobą miał gęsty, choć na szczęście niezbyt wysoki, młodnik, z prawej strony ciągnęła się poręba, a z tyłu, za szeroką linią, szumiął stary, dość rzadko podszyty las. Dziki powinny iść właśnie skrajem młodnika, a więc prosto na strzał... Mimo mrozu dyrektor zdjął rękawiczkę i przyłożył dryling do ramienia. Po chwili zawstydzony brakiem opanowania opuścił broń, zerkając w lewo, gdzie o jakieś pięćdziesiąt metrów od niego miał stanowisko Lulicki. On również nie mógł spokojnie ustać na miejscu...

Nagle z daleka dobiegł krótki, chrapliwy dźwięk trąbki myśliwskiej. Wordół zamarł w bezruchu. Po chwili jednak znów dookoła zapanowała cisza. Zaczynał już wątpić w zapewnienia leśniczego, że w młodniku skryła się potężna, licząca przeszło trzydzieści sztuk, wataha dzików, kiedy niespodziewanie usłyszał ciche i niezbyt jeszcze pewne szczeknięcie psa. Pies umilkł. Jednak prawie natychmiast po nim w drugim końcu młodnika odezwały się dwa inne, tym razem już głośno i natarczywie. Dyrektor mocniej chwycił dryling. Szczekanie przybliżało się, a więc dziki musiały być tuż, tuż!

Od strony poręby huknął strzał, a w chwilę później rozpoczęła się istna kanonada. Wordółowi przemknęła myśl, że to Wanidowski i Skrobik dziesiątkują watahę, ale nie zdążył pozazdrościć kolegom, bo niemal w tym samym momencie niespełna czterdzieści metrów od niego przebiegła przez linię dorodna locha, a za nią pół tuzina wyrosniętych warchlaków. Bez namysłu nacisnął spust. Gruchnęło niczym z armaty, jednak żaden z dzików nawet się nie potknął. Dyrektor poprawił dwukrotnie, niestety bez skutku.

Klnąc na całe gardło złamał broń i sięgnął do pasa po amunicję. Zaledwie zdążył załadować, a z lewej strony wypadły na linię dwa odyńce. Były tak blisko, że Wordół strzelił prawie nie mierząc. Liczył po cichu, że trafi obydwu, i aż zazgrzytał zębami, widząc, jak

Lulicki również strzela po linii. Chwilę później przetarł oczy ze zdumienia. Ani jeden z pocisków nie dosięgnął zwierząt!

W momencie kiedy dyrektor łamał broń, kolejne trzy warchlaki, przemknęły obok jego stanowiska. Tym razem nie zdążył nawet wystrzelić. Obejrzał się w stronę Lulickiego. Tamten też musiał być zaskoczony niepowodzeniem, bo zdjęwszy czapkę z niezbyt mądrą miną drapał się w łysinę. Po kilkunastu sekundach jakby na złość niefortunnym myśliwym z drugiej strony młodnika dobiegły dwa, a może trzy strzały. Dzików faktycznie musiało być tu co niemiara i Wordół zżymał się na samą myśl o trofeach kolegów.

Jeszcze blisko kwadrans huczało w lesie od wystrzałów. Wreszcie trąbka obwieściła koniec miotu. Dyrektor rozładował dryling i bez pośpiechu ruszył na miejsce zbiórki. Zastanawiał się właśnie, jak wytłumaczyć swoje niepowodzenie, kiedy z daleka dostrzegł Wanidowskiego i Skrobika. Jeden rzut oka wystarczył, by zorientować się, że obaj byli w równie kiepskich humorach. Nawet nie kwapili się do rozmowy i paląc papierosy w milczeniu czekali na pozostałych myśliwych.

– No jak, panie prezesie? – zagadnął Wordół Wanidowskiego. – Strzelił pan co?

– Gówno! – sarkastycznie odparł zagadnięty. – Wywaliłem dwanaście brenek, i nic! Widocznie ta czeska amunicja jest do luftu – dodał, jak gdyby chciał się usprawiedliwić. – Na dobrą sprawę powinienem mieć przynajmniej ze cztery sztuki...

– Cholernie nefartowny miot! – wtrącił nadchodzący właśnie Lulicki. – Nawet Rydelka opuściło szczęście. Poleciał sprawdzić, ale i on chyba spudłował.

– Dzikie miały z nas niezły ubaw – mruknął ponuro Skrobik. – Grzaliśmy do nich niczym na strzelnicy, a żadnemu nawet szczecina z ryja nie spadła.

– Bierzemy, panie prezesie, następny miot?

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI